# TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCYJ TATERNICKICH A. Z. S. W KRAKOWIE I WARSZAWIE
WYCHODZI CZTERY RAZY DO ROKU

ROCZNIK XIII ZESZYT 4

★

TREŚĆ



★

KRAKÓW 15 GRUDNIA 1929 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
STANISŁAW KRYSTYN ZAREMBA, KRAKÓW (16), UL. ŻYTNIA 6
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

# TATERNIK

ROCZNIK XIII ★ KRAKÓW, 15 GRUDNIA 1929 R. ★ ZESZYT 4

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W WARSZAWIE

## GEITLANDSJÖKULL

### (WSPOMNIENIE Z WŁÓCZĘGI PO ISLANDJI)

Zamieszczamy poniżej relację z wyjść, dokonanych przez p. K. Narkiewicza-Jodkę podczas jego samotnej [1]) i bez niczyjej pomocy odbytej wędrówki po Islandji, sądząc iż dzieje tej wyprawy, stanowiącej początek zagranicznej ekspansji polskiego alpinizmu odkrywczego, wzbudzą odpowiednie zainteresowanie w kołach taternickich. Artykuł poniższy opisuje trzy pierwsze wyjścia, dokonane dnia 22 sierpnia 1929 r. w czasie czternastogodzinnego marszu w pd.-zach. części Islandji w grupie wielkiego lodowca Langjökull; mianowicie: 1) na szczyt bez nazwy (ok. 1115 m) nie oznaczony na żadnej mapie, leżący w kierunku pd.-zach.-zach. od kopuły lodowca Geitlandsjökull; 2) na szczyt wspomnianej kopuły Geitlandsjökull (1589 m) [2]); 3) na szczyt bez nazwy (1232 m), nie oznaczony na żadnej mapie; znajdujący się na pd.—zach. od tejże kopuły (RED.).

Wyciągnąłem rękę w kierunku dalekiej, wynurzającej się z mgły kopuły lodowca. — Geitlandsjökull? — spytałem. — O jau, jau!! — potwierdził przewodnik [3]) szybko, — Geitlandsjökull! — powtórzył, dzieląc sylaby i zamilkł.

Staliśmy na pustynnem płaskowzgórzu.

Z biegnących po niebie zwałów wiecznie ruchliwych chmur, wynurzyło się słońce i czerwone zwolna szło ku zachodowi, ku dalekim na horyzoncie łańcuchom wulkanicznym.

Przed nami szarobrunatny, miejscami płowy szmat pustyni biegł ku północy. Dalej przechodził w szarą, płaską równinę, usianą plamami szerokich rozlewisk wód i bagien, krętemi smugami jasnych strumieni, płynących od czarnych, bazaltowych ścian. W górze nad niemi, jakieś nierzeczywiste, zamglone błękitną dalą, wisiały seledynowo-białe lodowce. Z siodła

---

[1]) Wspomnianego w tekście niemieckiego geografa, p. Petersena spotkał autor artykułu tylko przypadkowo, po górach z nim nie chodził.

[2]) Ostatnia warstwica na mapie 1:850000 wskazuje wysokość 1500 m; wysokości szczytów podane są na podstawie pomiarów p. Narkiewicza-Jodki, umożliwionych przez przyrządy, użyczone mu przez firmę J. Segałowicz.

[3]) Przewodnik — farmer wynajęty wraz z końmi na wyprawę w głąb wyspy

widziałem je wyraźnie. Pobiegłem oczami ku nagim stromiznom trachitów i bazaltów. Długo szukałem w prostopadłych ścianach możliwości dostania się do stóp wielkiej kopuły lodowca Geitlandsjökull. Z tej jednak odległości nie można było dojrzeć szczegółów. Zaledwie mogłem zorjentować się co do kierunku poszukiwań.

Zeskoczyłem z konia. — Tam — zwróciłem się do Petersena [1]) — pod temi ścianami znajdziecie mój namiot! Tam, jutro przed wieczorem, będziecie na mnie czekać! — Nie protestował zbytnio. Zresztą wszystko ułożone było i uplanowane na wiele dni naprzód. Zarzuciłem plecak na ramię. — Farewell!! — Cztery konie i dwóch ludzi ruszyło dalej. Pobiegli wyciągniętym kłusem ku dalekim oazom dzikich traw, ku samotnym osiedlom ludzkim Kalmanastungi, gdzie strudzone konie znajdą paszę, a ludzie dach nad głową. Widziałem ich jeszcze długą chwilę pędzących przez nagie pustkowie. Jeszcze raz dojrzałem, jak przewodnik groźnie potrząsał ręką nad karkiem bagażowego kuca (z całej czwórki najgłupszy i najbardziej niesforny koń). Potem mignął się jeszcze żółtą plamą swej nieprzemakalnej kurtki (była jego dumą!) Petersen. Zniknęli za najbliższym pagórem. Wchłonęła ich płowa monotonja pustyni. Przestali być jakimś śmiesznie małym, niespokojnym symbolem ruchu w tej beznadziejnej martwocie kamiennej pustki. Zostałem sam. Chwila długo, długo oczekiwana nadeszła. Czasu nie było wiele. Przed nocą należało podejść jak najdalej, wyszukać dogodne miejsce i rozbić namiot. Ściany lodowców wydawały się być niezbyt daleko, wiedziałem już jednak wtedy, jak złudną jest perspektywa krajobrazu islandzkiego. Ruszyłem w kierunku lodowca. Sześćdziesiąt kilometrów kłusa, które miałem dnia tego za sobą, zupełnie nie usposabia do marszu, szczególnie z plecakiem. Wlokłem się! Lazłem ku płaskiej równinie, leżącej u stóp lodowcowych ścian.




Dziwna, niezwykła przyroda Islandji ma wiele niespodzianek! Wspaniałe Nieznane czai się wszędzie i czyha na podróżnika tam, gdzie go się najmniej można spodziewać. Idąc ku równinie, zupełnie nie przypuszczałem możliwości jakiejkolwiek przeszkody. Nagle, bez żadnego przejścia, płasko-

[1]) Henryk Petersen — geograf z Berlina, asystent i redaktor naukowego pisma geograficznego — towarzysz kilkudniowej wyprawy w głąb Islandji.

wyż kamienny, którym szedłem, urywał się stromym brzegiem. Urwisty wał bloków olbrzymich, chaos bronzowoszarych głazów spadał w dół... W dole toczyła się szeroko i bezszelestnie biała, zupełnie biała rzeka. Stałem zdumiony. Zaskoczyła mnie nagłość, z jaką rzeka wyrosła mi pod stopami. Była dziwnie nierealna. Cały zresztą krajobraz niezwykły był, fantastyczny w barwach, nierzeczywisty. Białe od osadów lodowcowych rozlewiska wód zimnych i obojętnych, nieznanych i zdradliwych, tysiącami strumieni płynęły cicho ku rzece, ujętej w bronzowy, kamienny brzeg. Sieć wód i bagień, przecinająca we wszystkich kierunkach szarą, żwirowatą nizinę, ciągnęła się daleko po drugiej stronie rzeki popod czarne ściany bazaltów i szkliste, czerwone w słońcu jęzory lodów, opadających w doliny.




Bezgłośny bieg rzeki był jedynym widocznym, skuwającym uwagę ruchem w zupełnej martwocie skał i lodów, w ciszy nieuchwytnych, nieskończenie długich procesów geologicznych. Ściany, ku którym dążyłem leżały za rzeką. Nie ulegało wątpliwości, iż była to Geitá, dopływ Hvity. — Kozia rzeka! — A więc płynęła znacznie dalej na południe, niż było to zaznaczone na najlepszych mapach. Odkrycie było ciekawe (Petersen ucieszy się!!), tem niemniej, ażeby dostać się na lodowiec, należało przebyć rzekę. Wiedziałem, co znaczy przeprawa przez islandzkie rzeki. Biała, nieprzezroczysta i zimna, jak lodowce, z których płynie, woda, często kryje zdradliwe dno lotnych piasków. Często tworzy niebezpieczne wiry i głębie. Przeprawy zazwyczaj odbywają się konno, choć konie boją się tego panicznie. Znalezienie brodu też nie należy do rzeczy łatwych...

Ale ściany, ku którym szedłem, leżały za rzeką! Czasu do namysłu nie było. Od południa z szerokiej gardzieli Kaldidaluru [1]) wysuwał się ciemny kłąb chmur i groził deszczem. Słońce kryło się poza dalekie łańcuchy wulkanów i krwawiło stromy brzeg. Opuściłem się ku wodzie. Zrzuciłem szybko ubranie, umocowałem tobołek na głowie i ostrożnie wsunąłem się w rzekę. Prąd był silny. Usiłował znosić, podcinał czekan i nogi. — Sondując przed sobą, posuwałem się wolno. Każdy krok był grząźnięciem w miękkiem, bagnistem dnie...

[1]) Kaldidalur — płaskowyż pustynny, leżący między lodowcami Langjökull i Ok.

Na szczęście tu, w górnym biegu rzeki, woda nie sięgała mi powyżej piersi...

Przebrnąłem szczęśliwie. Roztarłem skostniałe ciało i ubrałem się. Wilgotną, żwirowatą niziną brnąłem przez mniejsze i większe strumyki. W pobliżu prostopadłych ścian, nad któremi gdzieś w głębi, teraz już niewidoczny, leżał lodowiec, stał olbrzymi czarny blok. Dziwaczny i samotny wśród szarej, bagnistej niziny przykuwał wzrok i przytem mógł stanowić dobrą osłonę od wiatru. Ustawienie namiotu na kamienistem, usianem grubym żwirem podłożu nie było łatwem. Napracowałem się długo, zanim biała płachta namiotu mogła być zdala widoczną na tle czarnego bloku. — Sygnał dla towarzyszy, którzy tu wrócą...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jest to jeden z najbardziej niewygodnych noclegów, jakie przeżyłem w terenie. Ani źdźbla trawy! Śpię bezpośrednio na ostrych, kłujących kamieniach... Jednak śpię... Budzi mnie rozgłośny w ciszy nocy huk... Przeciągły, groźny!... Drugi! Trzeci!!... Gdzieś tam w górze rwą się i pękają bryły lodów i walą z hukiem w dolinę!... Lawiny lodu!!... W czeluściach lodowców dzieją się rzeczy potężne, nie na ludzką miarę, ścierają się potęgi olbrzymie, tytaniczne... Huk i trzask, grzmot długi, wibrujący powietrzem, wali przez ciemność nocy... Jutro o świcie mam zajrzeć w serce lodów!... Dopiero jedenasta. Znów zasypiam. Nagły wiatr zimny, przejmujący, zrywa ściany namiotu! Wygrzebuję się z worka i, walcząc z wichrem, mocuję namiot po drugiej stronie bloku... Na północnej stronie nieba zimnem, seledynowem światłem pali się zorza polarna [1])! Wiatr ustał nagle. Znów jest cisza. Nie mogę zasnąć. Jest w tej ciszy jakiś nieznany, nieuchwytny niepokój. Coś się dzieje!

Dziwna jest taka samotna noc w namiocie, pod głazem bazaltu u stóp tajemniczych, kamienno-lodowych olbrzymów...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Szary, zimny świt. Nad rzeką wiszą płachty mgieł. Od lodowców płynie przejmujący ziąb. Druga trzydzieści. Oto nadchodzi godzina czynu. Wstaje dzień — jeden z tych, których nie zapomina się nigdy. Dzień, kiedy szeroko otwartemi oczami patrzy się w Wielkie Nieznane...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tuż przede mną gładka, pionowa ściana. Niedostępna! — Czy iść w prawo, czy w lewo, aby znaleźć najdogodniejsze wejście do stóp lodowca? Tu może pomóc tylko intuicja. Nie prędko jeszcze można będzie nabyć drukowany przewodnik i dokładną mapę tych okolic. Ruszam w lewo na wielką grzędę, która opada ku rzece. Wydaje mi się, że za nią jęzor lodowca opuszcza się nisko... Serja niespodzianek, jakiemi przyroda Islandji szafuje na każdym kroku. Przekroczyłem grzędę. Jestem w niewielkiej, zamkniętej stromemi ścianami, dolinie wulkanicznej. Czarne, płaskie dno z popiołów

[1]) W tym roku wyjątkowo wczesna, widoczna była po raz pierwszy już 17/VII na wyspach Owczych.

biegnie ku nowej grzędzie, zasłaniającej dalszy widok. Ściany na prawo gładkie, niedostępne. Z dna doliny wyrastają dziwaczne, czarne (wszystko czarne!) bloki o fantastycznych, rzeźbionych przez wiatr i wodę kształtach. Tajemnicze drogowskazy niewiadomo komu i przez kogo postawione, majaki złośliwe, czerniące się w bladej mgle świtu, wartownicy okropni i wieczni — strasznej martwicy zapomnianych, głuchych dolin wulkanicznych, usypisk popiołów, zastygłego chaosu bazaltów. Na czarnem (ciągle czarnem) dnie doliny znaczą się głęboko ślady kutych butów. Są widomym znakiem wtargnięcia człowieka w te głuche, nikomu niepotrzebne, a tak potwornie piękne pustkowia. Wloką się za mną przez całą dolinę świeże i głębokie, najbardziej realne w tym dantejskim krajobrazie.

Błogosławię je, gdyż mogą mi się przydać w wypadku, gdybym musiał wracać tą samą drogą. Za grzędą druga dolina! Jeszcze bardziej zamknięta, głucha i straszna. Za nią trzecia! — Kombinuję, że, idąc tak dalej, mogę obejść cały lodowiec. Trzeba w górę. Szukam wejścia w ścianę. Teraz z dna doliny po sypkim piargu mozolnie, stromo ku ścianie. Labirynt półek, grzęd, kominków, trawersów. Dwie godziny pracuję w nieznanej, bazaltowej ścianie. Wysoko, we mgle, majaczy szczyt nie szczyt, turnia, czy ostry występ grani. Stamtąd pewnie zobaczę lodowiec. Osiągam wierzchołek. Konstatuję, że jest to tylko część grani, biegnącej ku szczytowi. Samego szczytu nie widać, ginie w szarej, gęstej mgle. Czuję się nieco zmęczony. Drugi oddech jeszcze nie przyszedł. Nie pociesza mnie myśl, że pewnie trzeba będzie wracać tą samą drogą. Lodowiec, o którym sądziłem, że może być najwyżej o godzinę drogi odległy, gubi się gdzieś w tej potwornej, wszędobylskiej mgle. Po jakimś czasie osiągam smukłą, bazaltową piramidę.

Szczyt! Nieznany, nieznaczony na mapie, bez nazwy. Robię pomiar i odpoczywam. Nagle mgła rozwiewa się i opada. Przede mną leży lodowiec. Widzę go tuż przed sobą! Olbrzymia, regularna kopuła seledynowobiałych lodów na czarnych bazaltach. Patrzę w tę wspaniałą zjawę lodowego kolosu i badam. Czuję olbrzymi przypływ sił. Jest dopiero szósta. Śniegu na lodowcu niema. Szczeliny otwarte. Nęci mnie wierzchołek kopuły lodowej i pociąga wspaniały, dwuwierzchołkowy szczyt na prawo od lodowca. Zgrabna piramida, gdzie niegdzie tylko śniegiem i lodem okryta, harmonijne zestawienie «roboty» w skale i lodzie. Momentalnie układam plan. W dół do stóp lodowca i na kopułę. Stamtąd w prawo lodowo-skalną granią na nieznany szczyt. Powrót? W dół ku południowi na równinę, gdzie stoi namiot. Czy zdążę? Wygląda, że tak! — Marsz! Ścianą i piargami opuszczam się w kocioł skalny, gdzie zbiegają jęzory lodów. Zbliska są dziwne, brudne, oślizgłe, mokre, zorane tysiącami pęknięć i rowów. Olbrzymia półkula lodowa, pokryta siecią szpar wszelkiego rozmiaru i głębokości. Tam trzeba znaleźć przejście... Łamigłówka śródlądowych lodów północy. Labirynt wąskich, śliskich przejść między ziejącemi głębią czeluściami szczelin. Wyższa matematyka lodu!... Wstąpiłem na lodowiec... Długie godziny walki. Znają je tylko ci, co je przeszli. Którzy wiedzą, czem jest

każdy ostrożny, mierzony krok na śliskiej, mokrej powierzchni lodowca. Czem jest skok przez szeroką, bezdenną szczelinę i lądowanie na gładki lód... Ci, co wiedzą, czem jest długie i żmudne rąbanie stopni w twardym, stromym lodzie... I czem jest samotność pośród groźnego milczenia lodów i skał w długie godziny upornej walki... Wiele szczelin musiałem przeskoczyć i dużo wyrąbać stopni. Mgła przyszła, ciężka, wilgotna mgła, kiedy dotarłem na szczyt lodowca. Zasłoniła widok. Przeniknęła chłodem do kości i zabiła słoneczną radość zwycięstwa. Groziła trudnym, niebezpiecznym powrotem.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Po godzinie dotarłem do wielkiej przełęczy, od której biegła grań ku nieznanemi szczytowi. Wprost na grań nie można się było dostać. Należało trawersować ukośnie w górę stromym piarżystym zboczem. Wydostałem się na piarg i wolno posuwałem się w górę. Kąt nachylenia stoku wzrastał silnie... I w pewnej chwili stało się coś, czego zupełnie nie przewidywałem. W stromem miejscu nagle z pod nóg ze złowrogim szelestem i sykiem ruszyła lawina drobnego piargu. Momentalnie znalazłem się na gładkiej, lodowo-śnieżnej pochyłości. Piarżysko, po którem szedłem, okazało się lodowem zboczem, pokrytem cienką warstwą piargu. W miejscach mniej pochyłych warstwa była dostatecznie grubą. Czekan wbijany natrafiał zawsze na piarg. Dopiero w miejscu stromem nastąpiła katastrofa. Zacząłem osuwać się razem z piargiem, który nabierał coraz większej szybkości. Błyskawicznie przewróciłem się na brzuch i z całej siły wbiłem dziób czekana w lód. — Zatrzymałem się! — Wisząc na rękach, widziałem jak ławica piargu gnała w dół i z hukiem wtoczyła się w wielką szczelinę. — Zupełnie nie miałem ochoty zrobić to samo!... Pozycja półwisząca, a półleżaca na gładkiej ścianie lodowej, twarzą do ściany, z drugą ławicą piargu, gotową ruszyć każdej chwili, tuż nad głową, nie należy do zbyt wygodnych. Przychodzi wtedy wspaniała świadomość, że żadna pomoc zewnętrzna, żadne poczciwe pogotowie ratunkowe nie zjawi się tu na najgłośniejsze nawet wołanie.

Skutkiem tej zupełnie pewnej i określonej świadomości, zjawia się cudownie jasne i zupełnie spokojne, szybkie a jednak przerażająco logiczne i ścisłe rozumowanie. W dół zjeżdżać nie można! Nawet przy najlepszem hamowaniu czekanem, groziło to potłuczeniem lub pokaleczeniem. Jedynie możliwem było trawersowanie w prawo, wzdłuż wiszącej nade mną, nieoderwanej warstwy piargu. Ale nogi moje wisiały swobodnie na lodzie bez żadnego podparcia!... Należało im zatem zrobić podparcie. Zdaje się, że z pól godziny (cała wieczność!) biłem szpicami butów w lód. Mgła opadła i lodowce paliły się w słońcu, kiedy poczułem, że nogi mają jakie takie oparcie. Wtedy ostrożnie wyciągnąłem czekan... Rąbię stopnie, wymijam grożącą mi lawinę piargu i wydostaję się na grań.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Bazalt skończył się. Strome zbocza jasnych, żółtawych łupków. Wielkie płaty śniegu. Twardy, ziarnisty, lśniący w powodzi światła firn. Pryskają

w twarz odłamki lodu. Głośne uderzenia czekana budzą śpiące po przepaściach echa.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Szczyt. Chwila cichego, samotnego triumfu. Krańcowy punkt zwartych, zorganizowanych wysiłków. Meta nieprzekraczalna... Odpoczywam. W dole kotłują się i falują mgły. Lodowce w słońcu. Geitlandsjökull i otaczające go szczyty są tylko częścią olbrzymiego lodowca Langjökull. Sfałdowany, długi wyż lodowy, pustynia zakrzepłych wód, z której wyrastają tu i owdzie czarne, nieznane turnie. Podobno gdzieś tam we wnętrzu tej nieprzemierzonej, kamienno-lodowej pustki biją gorące źródła. Smugami białej pary sygnalizują swą obecność. Pod słońce nie widzę końca lodów. Na północy samotny i wyniosły Eijriksjökull góruje nad okolicą...

Jest zupełnie cicho. Powietrze nieruchome, przesycone światłem. Leżę na szczycie i patrzę. Długo chłonę i wbijam w świadomość na zawsze tajemnicze, nietknięte stopą ludzką wnętrze lodowców Islandji.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Czas wracać. Układam wielki kopiec z kamieni i w metalowej puszce zostawiam dane dotyczące wejścia....

Teraz w dół ku południowi. Wspaniała jazda na butach i czekanie stromemi zboczami sypkich piargów, płatami twardego śniegu. W dół na górne piętro doliny.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jestem jak gdyby w pułapce. Wielkie leje piargów, spadające ku równinie, gdzie stoi mój namiot, zda się leżą tuż pod stopami. Ale dzieli mnie od nich gładki, pionowy uskok. Może raczej próg skalny, długi, kilkunastometrowej wysokości, miejscami podcięty. Od kilku minut posuwam się wzdłuż uskoku. Zejścia niema! Patrząc z góry, przypuszczałem możliwość nieznalezienia zejścia. Wołałem jednak szukać, niż wracać z powrotem, długie godziny, przez lodowiec i pierwszy szczyt. A jeśli nie znajdę?!... Po ruchomych, grożących każdej chwili poleceniem w dół kamieniach, pełzam na brzuchu i wyglądam z nad przewieszonych skał ku zbawczym piargom Wreszcie jakiś komin. Ciasny i kruchy. Jedyna możliwość w całym wielkim progu... Ostrożne, skupione zapieranie, powolne wężowe ruchy w wąskiej gardzieli skalnej... I piarg...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Północny wiatr! Opętany, wściekły! Gwiżdże po szczelinach lodowców, huczy po mrocznych dolinach wulkanicznych, wyje po skalnem pustkowiu. Od śnieżnych wyżyn Grenlandji, od pól lodowych Bieguna płyną, toczą się olbrzymie masy zimnego powietrza. Rozpędzone, rozszalałe fale chłodu wlewają się w bazaltowy korytarz, w kamienną gardziel Kaldidaluru... Mgły! Ciężkie, nieprzenikliwe, wilgotne kłęby mgieł. Płyną, lecą w nieskończoność. Upiorny, straszliwy pochód, niekończący się marsz szarych zwałów wszystkotłumiących, wszędobylskich mgieł...

Ludzie nie przyszli!... Noc jest ciężka, pełna łopotania jedwabnych ścian namiotu, i wycia wichru. Druga noc pod czarnym blokiem bazaltu.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Niema ich!... Wzrok sięga tylko na odległość kilku kroków. Kto wie, co kryje się za tą głuchą, nieprzeniknioną zasłoną mgły?... Wicher szaleje i miota chmurami lodowych pyłów! Dłużej nie mogę czekać. Ruszam na południe!...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Znaczony szlak pustynny, wiodący do Thingvellir'u leży za rzeką. Posuwam się wzdłuż brzegu w nadziei znalezienia dogodnego miejsca. Napróżno! Po godzinie rozpaczliwego marszu przez wicher i mgłę znajduję się w matni bagien, strumieni i rozlewisk. Przejście przez rzekę jest konieczne. O rozebraniu się niema mowy. Wicher omal że nie przewraca, a płaska, mokra nizina nie daje żadnej osłony. Szeroko toczy swe fale mętna i zimna Geitá... Niebezpieczeństwo! — Tak! — Lotne dno! — Tak, możliwe! — Wicher szalony, szybki prąd, lodowata woda, ciężki plecak, w ubraniu!! Tak, tak! Rozumiem... Ale cóż, kiedy zbawczy szlak do Thingvellir'u leży po tamtej stronie!!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Mam już za sobą około czterdziestu kilometrów szybkiego marszu. Jestem prawie suchy. Zbliża się wieczór. Wiatr ustał nieco i mgła przeszła. Namiot ustawiony... Ale co to? Na wzgórzu poza namiotem dwa konie. Gryzą spokojnie trawę. Jeden bagażowy, a drugi... Mój kasztan! Podbiegam, oglądam. Gdzie ludzie?... Widzę ich już, jak pędzą szlakiem, którym przyszedłem!... Aha! Czeka mnie jeszcze dwadzieścia kilometrów w siodle...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Krwawe słońce opada ku dalekim na horyzoncie łańcuchom wulkanów. Kryształowe zjawy lodowców palą się rubinowem światłem. Cisza. Jedziemy czarnym dnem doliny ku fioletowym ścianom Sulur'u, u stóp których drzemie cichy i biały Armansvatn [1]). Wyciągnięty kłus! Czarny pył wali z pod kopyt małych, islandzkich koników, pęd rozwiewa kudłate grzywy. O, o, o!! Pogania przewodnik. Gnamy co sił. Długi wąż śladów zostaje za nami i biegnie zpowrotem. — Późną nocą ujrzeliśmy światło Walhalli [2]).

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Leżę w wygodnem łóżku. Za oknem po równinie Thingvellir'u przewala się wiatr. Huczy w wąwozach Allmannagji, gwiżdże w wygasłych kraterach wulkanów i mąci rozległe wody Thingvallavatn'u. Nie mogę zasnąć. Marzy mi się biały namiot pod czarnym blokiem bazaltu, walka z lodowcem, zimne uściski Geity i bieg przez pustynię. Jak tu ciepło i wygodnie!.. Jutro ruszam dalej!

KONSTANTY NARKIEWICZ-JODKO

---

[1]) Armansvatn — jezioro u stóp północnych ścian Sulur'u i Armansfell'u.

[2]) Walhalla — schronisko w dolinie Thingvelliru.

# Z AKTUALNYCH ZAGADNIEŃ TATERNICTWA

Artykuł niniejszy pomyślany jest — częściowo — jako polemika z podstawowemi i zasadniczemi uwagami Romana Kordysa, ogłoszonemi w poprzednim n-rze «Taternika» — w wielu jednak wypadkach wychodzi poza ramy dyskusji z drem Kordysem. Ponieważ ambicją autora było postawienie artykułu na podstawie szerszej, niżby mu ją dać mogły jego własne ściśle osobiste opinje — przeprowadził szereg rozmów i rewizyj tekstu wespół z J. K. Dorawskim[1]). Poniższe myśli należy już zatem uważać za zgodne poglądy pewnego zespołu taternickiego.

## DLACZEGO?

Tyle razy — rodzina, otoczenie, t. zw. społeczeństwo — zapytuje wprost: czemu, bezcelowo i egoistycznie, narażamy się w górach na tak wielkie niebezpieczeństwa. Śmierć w służbie nauki, śmierć dla idei — lecz śmierć dla przejścia zachodniej ściany Kościelca?

Zagadnienie najprostsze — jest zarazem pozornie najtrudniejsze. Źródło taternictwa widzi Kordys w «biologicznej potrzebie człowieka wysilania się do ostatka». Lecz to tylko: instynkt. W człowieku działa wiele instynktów, wśród których świadomość dokonuje — wyboru. Psychoanaliza uczy, że szereg instynktów zostaje przez świadomość stłumionych lub sublimowanych.

Znam taterników, u których ich pasja jest tylko, lub prawie tylko, instynktem. Są to zazwyczaj ludzie jeszcze bardzo młodzi. Być może, niejako uleganie taternictwu przedewszystkiem z popędów pozarozumowych, jest właściwością i przywilejem pierwszej fazy psychicznej każdego taternika. Lecz instynkt jest tylko punktem wyjścia. I jeżeli taternictwo ma pozostać na całe życie wielką namiętnością człowieka — musi go wesprzeć nadbudowa ideologiczna, owo, najszerzej pojęte, uznanie użyteczności.

Celem życia ludzkiego jest twórczość. Twórczość żywi się wrażeniami. Impulsywne — zarówno jak i pracowite — zdobywanie nowego dowodu matematycznego — jest zdobywaniem zachodniej ściany Łomnicy. A pośrednio: z przeżyć na Łomnicy narasta siła życia, którą można przetworzyć w poezję czy w matematykę. Zatem gdy jednym umożliwia ich wielkość splot przeżyć (wrażeń) erotycznych, religijnych, społecznych i t. d. — niewielkiej garstce alpinistów: ich sport górski.

Skoro jednak rozum nie stawia kategorycznego sprzeciwu, instynkt zwycięża, często kosztem wyrozumowanego rezultatu. Tylko «niekiedy spotyka się» (Kordys) jednostki typu Karłowicza czy Smoluchowskiego. Ale nikt nie wie, czy jego twórczością, jego zasługą, nie ma być wyłącznie alpinistyczna działalność. Jakąż wartość swoistą wnosiłby dr. Świerz, li tylko profesor gimnazjalny w Katowicach?

A jeżeli śmierć Szczuki — wodza polskiego modernizmu — była ciosem dla całej awangardy artystycznej — mądra, choć bezsilna odpowiedź: «bogowie łakną krwi» musi pokrywać żal, jaki się budzi na wieść o każdej klęsce jednostki.

Jestem zatem czynnym taternikiem[2]) dlatego, ponieważ z taternictwa

[1]) Kilka ustępów tekstu jest wprost pióra Dorawskiego.

[2]) Pojęcia «taternictwo» używam tu w najszerszem rozumieniu, zatem nietylko jako bezpośrednie sportowe zwiedzanie gór.

czerpię wartość swego życia. Mniejsza, co spowodowało — tajemnica Twórcy, nastawienie wyobraźni czy przypadek[1]) — że właśnie ono jest źródłem głównych wartości; rozstrzyga fakt: bez niego załamałaby się uroda i sens życia.

I jeszcze: nie warto ginąć dla zachodniej ściany Kościelca. Napewno nie warto. Ale przecie płaci się życiem nie za ów krótki moment wspinaczki, katastrofą zakończony — lecz za całość swego taternictwa, za te wszystkie wartości, które się z taternictwa otrzymało i za które niema ceny zbyt wysokiej.

## PODZIAŁ NA POKOLENIA

A to jest bliższym punktem wyjścia: «starzy» i «młodzi». Próbowano, w wielu miejscach i z wielu stron, zachwiać, wzgl. usunąć, to różnicowanie. Naturalnie — nadaremnie. Sens wszelkiego postępu przymusza go wszędzie zachowywać. Każde pokolenie przychodzi z odmiennym materjałem ideowym, wypowiadanym z neofickim fanatyzmem. Każde bierze sobie za punkt honoru — odełgiwanie i rewizję dorobku poprzedników.

Taternik współczesny stanął pod znakiem sportu. Sport, jak wiadomo (lub niewiadomo), należy, musi się, dzielić na grę sportową, sport boiska, areny, widzów — i na sport przestrzeni, walki zawodniczej już nie z organizmem drugiego człowieka lecz z przeciwnościami przyrody. Można niecierpieć i naigrawać się, mniej lub więcej słusznie, ze sportu walki o milimetr bieżni w cząstce sekundy czasu — a kultywować sport przestrzeni, Gerbault'a, Amundsena czy bodaj Lindbergha — trudno jednak zaprzeczyć istnieniu wzajemnego oddziaływania, infiltracji jednego rodzaju sportu z drugim. Ostatnie tafernickie pokolenie przedwojnia wiele już mówiło o sporcie, ale działało — także, i przedewszystkiem!, ideologicznie — wciąż w ramach tego prądu, który nazwałbym: turystyką taternicką[2]). Pierwsze powojenne pokolenie taternickie — którego wystąpienie w Tatrach przypada na lata 1921—1927 — przekształciło tę «turystykę taternicką» w czysty «sport taternicki». I otóż są już następcy. Bo drugie, dzisiejsze pokolenie powojenne — «najmłodsi», uzyskujący pierwsze wybitne sukcesy w roku 1928 — idzie — ściślej: zaczyna iść — dalej niż my, założyciele S. T. A. Z. S. w roku 1924. Wśród tego pokolenia — może jeszcze nie całkiem świadomie sprecyzowane, ale bezwzględnie wyraźnie — pojawiły się te właśnie wpływy sportu boiskowego, o których wyżej wspomniałem. Adepci sportu wspinaczego. Kierunek stopera, rekordów czasowych, przepisów gry, klasyfikacji asów. Kult — czasem nawet czynny — zawodów sportowych. W przyszłości: wizja rozentuzjazmowanych trybun dookoła południowej ściany Zamarłej Turni, — na której popisy taternickie numeracją, klasyfikacją i rozdaniem nagród zakończone? Wyrażając się bez przejaskrawienia: ułatwienie psychiczne taternictwa, sprowadzenie go do tej roli,

---

[1]) Kordys «tylko z lękiem dotyka» przyczyn rozdziału sportowych zainteresowań (takich czy owych) wśród «rodziny podróżników». Naturalnie — samym podróżnikiem trzeba się urodzić; i specjalne nastawienie wyobraźni jest konieczne. Ale można, sądzę, przyjąć, że w późniejszym oddaniu się np. taternictwu, a nie żeglarstwu, decyduje w głównej mierze właśnie przypadek (wpływ środowiska, otoczenia, czynników geograficznych, lektury, tradycji i t. p.).

[2]) Głównym ideologiem tego prądu był Karłowicz. Że — mimo przeróżnych sporów i przekomarzań się — wszyscy w istocie poddawali się jego poglądom, o tem świadczy choćby odczyt Mieczysława Świerza p. t. «Ci, którzy odeszli...», opublikowany w «Taterniku» z r. 1928, str. 89. Świerz raz jeszcze, w roku 1928!, głosi tu — między innemi — apologję taternictwa Karłowiczowego i uważa go za «drogowskaz jaśniący się u rozstajnych perci taternictwa przyszłości».

którą dziś odgrywa «królewski sport narciarski». A więc: powodzenie i popularność, stała rubryka w dziennikach i t. p. Ale jednak — taternictwo.

Pierwsza faza: jest rzeczą wszędzie obserwowaną, że najwybitniejsze jednostki pokolenia ustępującego — sprzyjają idejom i ludziom, wywalczającym sobie dopiero uznanie, nowym i oficjalnie pomijanym. Jest równocześnie objawem pospolitym, że założyciele, pierwsi twórcy jakiegoś ruchu, tkwią jeszcze bardzo silnie w poprzednim okresie, są też niejako mijani przez ruch, który sami stworzyli. Przykład z taternictwa: działalność i pisma Romana Kordysa — a z drugiej strony pierwsza enuncjacja programowa (1924 r.) Marjana Sokołowskiego, lidera taternictwa powojennego, ideologicznie silnie jeszcze i bezspornie związana z erą przedwojenną.

Hasło zdeterminowanej szczerości. To hasło przejawia się zawsze «na przełomie epok». Słynna Goetlowska «Wycieczka, jak się o niej nie pisze» («Taternik» z r. 1912, str. 37) była już wyraźnym zewnętrznym objawem dekadencji «złotej epoki taternictwa». Zupełnie też — choćbym go nie podzielał — pojmuję oburzenie, wywołane jej ogłoszeniem. Dziś Kordys jak najotwarciej wyjaśnia przeróżne swoich czasów sposoby turystycznej roboty, i nie cofa się przed pojęciami «rekord», «lęk» i t. p. My nie ukrywamy wstydliwie: że współzawodnictwo jest głównym motorem naszych zwycięstw, że zależy nam na sławie i uznaniu (coprawda, jeszcze tylko do taternickiej rodziny ograniczonem) i że uzyskanie rekordu jest dla nas walnym urokiem czynnej turystyki.

Druga faza: można się zdobyć na uznanie następców — lecz bezpośrednich, którzy z nas bądź co bądź wyrośli. O ile mogę wyrozumieć, wielu z taterników przedwojennych solidaryzuje się w znacznej mierze z ideologją i programem «pokolenia średniego». Ale stanowczo nie umie już znaleźć wspólnego języka z «najmłodszymi» — podobnie, jak zapewne i my nie znajdziemy zczasem zrozumienia dla jakichś przyszłych następców dzisiejszych najmłodszych.

Opacznie pojmując ich postępowanie, i przerysowując ich wady — gwałtownie potępia Kordys współczesnych «adeptów sportu wspinaczego», potępia, i z rodziny taternickiej bezwzględnie wyklucza. Powtarzam — nie należąc do najmłodszych (ani już, niestety, latami, ani przekonaniami) — i tkwiąc całkowicie w tym okresie pomiędzy «turystyką taternicką» a «sportem wspinaczym», który «sportem taternickim» pozwoliłem sobie nazwać[1]) — nie mogę jednak dojrzeć, w czem adepci sportu wspinaczego są gorsi od snobów i przewodników-górali, które to obie kategorje Kordys jednak uprzejmie do rodziny taternickiej włącza[2]). I zarazem — z pewnem melancholijnem poczuciem już również mijania się — przestaję występować przeciwko nim, widząc w nich — mimo wszystko — najbliższych reprezentantów taternictwa. «Spłyniem, inni po nas przyjdą» — i nie pomoże nasza opozycja, nasze protesty, nasz opór. Przypuśćmy, że z boleścią, przypuśćmy nawet, że z odrazą — ale przewiduję nieuchronną inwazję boiskowości na grunt taternicki. A więc Tatry takiem samem, mutatis mutandis, boiskiem, jak stadjon «Garbarni»?

---

[1]) Przyczem nazwy te są szematem i skrótem myślowym, o który nie chciałbym toczyć sporów werbalnych.

[2]) W swoim ataku na wspinaczy popełnia pozatem Kordys inny błąd, pomieszania ze sobą dwu obcych kategoryj. Cytowane przez niego słowa: «Nie lubię gór, czuję się w nich niedobrze, ale muszę «zrobić» Zamarłą Turnię», mógł wyrzec tylko snob, nigdy — wspinacz.

## METAPSYCHIKA TATERNICTWA

Tu wkraczamy na teren wróżb przyszłości i epidemicznych zapytań: co dalej? «Co dalej», o tem wszyscy. Pisemnie i ustnie. Rozumnie i mniej. Z trwogą i optymistycznie.

Można stoper w zastosowaniu taternickiem uważać za zwyrodnienie, ale trudno nie dostrzec w projektach jego użycia pewnej nowości. Horyzontalizm jest oczywiście hasłem żartobliwem[1]), ale kto wie, czy i on? — lub wyjścia nocą, lub szereg grani czy nawet ścian, łączonych w wycieczce jednodniowej na ilość? — lub eksploatowanie wapiennych urwisk Tatr Zachodnich i Bielskich?... A pojawiające się sporadycznie hasła «bezwzględnej czystości sportowej», zatem odrzucenia pomocy liny i haków, przekreślenia dorobku przewodnikowego i chodzenia zawsze «jak na nową drogę»?... Bo ja wiem zresztą, co jeszcze...

Są i dziwaczne pomysły: «powrotu do wielkości Tatr», odwrotu, usiłującego przekreślić to wszystko, co od prymitywnego pojęcia np. «Lodowy Szczyt», coraz świetniej rozwijające się taternictwo rozdzieliło na szereg indywidualności, wysubtelniło, wypełniło nową treścią, wzbogaciło o miljon nowych faktów — tem samem Tatry dziesięćkroć powiększając[2]); albo spekulacja na «niezbadaną tajemnicę przyszłości»; albo fantastyczne projekty utworzenia z pewnych, mniej jeszcze zbadanych, gniazd górskich, rezerwatu taternickiego dla przyszłych pokoleń, niedostępnego dla ekspanzji dzisiejszych; albo...; albo...

Za lat niewiele skończy się zdobywanie Tatr, nietylko letnie lecz i zimowe (które mniej możliwości użycza). Bo choć k a ż d e górskie pokolenie — w związku z swojemi realnemi możliwościami — widziało «wyczerpywanie się problemów»[3]) — tym razem, objektywnie, cyframi, można jednak wykazać, że w Tatrach pozostało jeszcze do przebycia jakichś 600 rozsądnych «nowych dróg», warjantów i t. p. — przyczem dzisiejsza naj-

[1]) Nie zawsze zasługującem zresztą na złośliwy wykrzyknik. Sens przejścia z Przełęczy koło Drąga na Stwolską Przełęcz, lub od Przełęczy Świnickiej ku Niebieskiej Turni, jest chyba niewątpliwy. Podobnie, sądzę, nie byłoby ze stanowiska sportowego śmiesznem ani bezwartościowem przedostanie się np. ze Zmarzłej Przełęczy na Kozią Przełęcz, wpoprzek południowej ściany Zamarłej Turni. A jak piękne jest wyszydzone «przetrawersowywanie poziomo ścian i urwisk tatrzańskich» od Rakuskiej Przełęczy wpoprzek Małego Kiezmarskiego Szczytu, Wideł i Łomnicy aż ku Durnemu Szczytowi!

[2]) W zdaniu powyższem mieści się zarazem odpowiedź na ów projekt, przez Mieczysława Świerza w «Taterniku» z r. 1928, str. 25 rzucony. Dla taterników — współczesne piękno Tatr polega przedewszystkiem na zróżnicowaniu. Prymitywny a bałwochwalczy, przeszły podziw dla ogromu pozbawionego wszelkich cech indywidualnych — zastąpiło nowoczesne rozróżnianie, umiejętność analizy, oceny, i rozumnego, świadomego zachwytu. W jednolitym — na «grań» i «przepaść» zaledwie rozdzielonym — masywie górskim, dostrzeżono: szczegół. Dostrzeżono to wszystko, co się np. składa na trzecią drogę w północnej ścianie Małego Koziego Wierchu — a zatem walne i istotne rozszerzenie Tatr. Dziecko, i poeta, porówni czytający «Pana Tadeusza».

[3]) Wszakże już Englisch w artykule «Sechs Wochen Urlaub (Eine alpine Plauderei)» (Jahrb. des U. K.-V. z r. 1907, str. 61) napisał, że: «Mit der Besteigung der höchsten Gabelspitze... wurde der Schlusstein an dem gewaltigen Bau der Erschliessung des heimatlichen Hochgebirges gelegt. Was da noch kommen kann, sind höchstens mehr Varianten, mehr oder minder überflüssig, oft nicht einmal von lokaler Bedeutung». A potem Kordys «Na marginesie dyskusji o trudnościach» («Taternik» z r. 1910, str. 58) już wówczas stwierdzał, że «stoimy pod znakiem dekadencji» i ubolewał, że «ten nowoczesny: — dzisiejszy i jutrzejszy «Klettersport» tatrzański jest tylko bladem odbiciem wszechstronnego i wspaniałego prawdziwego taternictwa, którego czasy świetności bezpowrotnie minęły, a ostatki dni jego się zbliżają».

nowsza fala odkrywczego rozmachu (przeszło 60 pozycyj w zestawieniu nowych dróg tatrzańskich w roku 1929) z przyspieszeniem ów zapas wyczerpie, cały obszar Tatr zamieniając w teren tak gruntownie wydeptany jak dziś otoczenie Hali Gąsienicowej czy Morskiego Oka. Nieśmiertelny, jak twierdzono, problem problemów, przejdzie do historji. Zapewne (napewno!) wbrew najmłodszym (jeśli nie obecnym, to przyszłym) zgodzę się z Kordysem, że «rozumny i wzniosły cel taternictwa będzie wówczas osiągnięty bez reszty». A więc oczywiście: «przyszłość taternictwa leży poza Tatrami», choć tylko dla bardzo szczupłej elity, ponieważ olbrzymia większość zawsze będzie ograniczona do ram ściśle tatrzańskich.

Muszę jednak podkreślić, że samo zwycięstwo boiskowości w taternictwie bynajmniej nie będzie jego końcem. W ramy «zawodów o mistrzostwo Polski» to najbliższe taternictwo napewno nie wejdzie. I trybun pod Zamarłą Turnią nie zbuduje. I w stadjon «Garbarni» jednak Tatr nie zamieni. I sentymentu do Tatr — choć, jako żywo, różnego niż w epoce Pawlikowskiego — swych prozelitów nie pozbawi (żywiące się «Luna Parkiem» parszywe owce wszędzie się mogą znaleźć). A że będą ogłaszać listę «pierwszych dziesięciu» sezonu — że rozgłos równy rekordziście automobilowemu czy lotniczemu? My, starsi, nie odczuwamy jeszcze potrzeby przeglądania się w lustrze oklasków, nam jeszcze w zupełności wystarcza uznanie, ograniczone do rodziny taternickiej. Ale nie widzę powodu, dla którego miałoby się zmiejsca potępiać rozszerzenie platformy tego uznania.

## WYBIJAĆ CZY ZOSTAWIAĆ?

Przyklaskując zamachowi na haki południowej ściany Zamarłej Turni — pochwalił Kordys czyn, wzbudzający — conajmniej — wiele zastrzeżeń. Nawet uznając ideowe pobudki, kierujące wykonawcami tego «zamachu», musi się stwierdzić w ich czynie przesadę. Czternaście haków na owej ścianie, to zapewne zawiele — ale zero na niej haków, to niewątpliwie zamało. Pozatem, następstwem tego czynu są coraz liczniejsze niby — naśladownictwa, wybryki, które już z dostojeństwem i czystością taternictwa mają bardzo niewiele wspólnego, a niosą z sobą wiele groźnych skutków.

Posługiwanie się hakami nie jest żadnem technicznem ułatwianiem sobie drogi; przeciwnie, może być — i bywa częstokroć! — jej utrudnieniem (tarcie i opór liny). Haki służą wyłącznie celom asekuracyjnym. Używanie ich jako chwytów (wyjąwszy wyjątkowe wypadki, gdzie wszelki inny sposób pokonania jakiegoś niewielkiego fragmentu dużej drogi jest niemożliwy) należy do tej samej kategorji, co przeróżne wspinaczki np. z pomocą liny. Zresztą — po największej części — haki muszą być tak wbijane, że jako chwytu czy stopnia użyć ich niesposób.

Wiadomo, że na drogach najtrudniejszych asekuracja z wolnej ręki jest z reguły iluzoryczna — asekuracja przez blok często niemożliwa. A więc: hak — tylko i tylko: hak, względnie nawet haki w liczbie mnogiej. Zdobywcy hak pozostawiają, jego obecność cytują w opisie swej drogi...; tym danym ufając, następcy już ze sobą haków nie zabierają. Wynik: przejście nadzwyczaj trudnego miejsca pod ryzykiem asekuracji: żadnej, pod groźbą zatem nieuchronnej katastrofy w razie odpadnięcia[1]).

Również: miejsc odpowiednich do wbijania haków jest na drogach najtrudniejszych b. ograniczona ilość — a wbicie ich częstokroć prawdzi-

[1]) Sytuacje takie znachodziły się już np. na zachodniej ścianie Kościelca. Wszystkich kandydatów na jej przechodzenie — ostrzegamy zatem!

wym majstersztykiem. Ciągłe teraz wbijanie ich i wybijanie — wciąż w tych samych, nielicznych miejscach — bardzo poważnie skałę deformuje i przy dzisiejszej częstotliwości wypraw najtrudniejszych stanowi bezpośrednią groźbę. Wedle udzielonych mi ostatnio informacyj, szczelina w nyży pod górnym kominkiem, na południowej ścianie Zamarłej Turni, skutkiem właśnie rzeczonych manipulacyj rozszerzyła się do tego stopnia, że należyte osadzenie haka jest w niej już niemal uniemożliwione (a przechodzenie kominka bez asekuracji z nyży, to powiększanie ryzyka ponad dozwolony procent). Jeszcze gorzej ułożyła się sytuacja przed trawersem na zachodniej ścianie Kościelca; tutaj, po podobnie brutalnych operacjach, wbicie haków jest już niemożliwe. Dość prędko analogiczne przemiany grożą innym ścianom. I ostatecznie mogą pozostać tylko dwie alternatywy: chodzenie bez asekuracji, lub — wkucie klamer, osadzonych na ołowiu. Nieprzewidziana konsekwencja, pp. przeciwnicy — czy może amatorzy? — cudzych haków!

Ale: «chcę mieć na swej drodze warunki podobne tym, z jakiemi spotkali się jej pierwsi zdobywcy; a haki zarówno wskazują drogę jak i ułatwiają, tem, że ich wbijać nie muszę». Niewątpliwie obecność haków jest — w tem znaczeniu — pewnem ułatwienieniem. Ale brak ich ani trochę nie dopomoże w beznadziejnych wysiłkach dorównania wrażeniami zdobywcom. Jakkolwiek bądź, na drodze powtarzanej zanika walny, jedynie ważny, moment niespodzianki, niewiedzy. Nastrój wspinania się w terenie, o którym raz już powiedziano, że go przebyto — musi być, bez względu na wszelkie inne okoliczności, całkiem odmienny od wrażeń przy rozwiązywaniu problemów. Tu ani nawet rezygnacja z ogłoszonych opisów nie pomoże.

Wynik: wybijając haki, bynajmniej nie stwarzamy jeszcze warunków, podobnych warunkom zdobywców; wybijając je — nie utrudniamy przytem drogi dla swego danego przejścia, lecz dla następnych partyj wzgl. dla swego hypotetycznego powrotu, przy którym możemy nb. w miejscu wybitych haków zastać nowe; sytuacje absurdalne.

A i o tem nie trzeba zapominać, że wybicie haków nie jest żadnem bohaterstwem: wisi się bezpiecznie na lince, zgóry zwieszonej, i conajwyżej mięśnie ramion forsuje. Zresztą, podobnie, jak wolno każdemu iść nawet na północną ścianę Żabiego Konia samotnie — wolno mu też nigdzie nie posługiwać się liną i wbitemi hakami. Zuchwałe hasło Preussa jest poza praktykami rodzimych wybijaczy. Preuss był wrogiem używalności haków — lecz nie hakoburcą.

Dokończmy: jeślibym nawet przyznał moralne prawo wybijania haków temu, kto ich nigdy nie używa — odmawiam tego prawa młodzieńcowi, który użyje cudzego haka do asekuracji, a... potem go wybije! Więcej! odmawiam mu nawet prawa teoretycznego zwalczania używalności haków.

Wnioski: wybijanie haków asekuracyjnie przydatnych i tkwiących na właściwej drodze — jest łobuzerją i, co gorsza, czynem nieetycznym. Hak, uzasadniony potrzebą i należycie osadzony w skale — a pozostawiony przez zdobywców lub poprzedników — staje się własnością publiczną. Jego wybicie (a już specjalnie wybicie haka, wyszczególnionego w opisie drogi) koliduje z moralnem prawem[1]). Własny hak może każdy zabrać ze sobą —

[1]) Wiadomo nam zresztą, że powodem rozpowszechniającego się nagminnie wybijania haków, najrzadziej są czyste, choć opaczne, hasła sportowe. Częściej jest niem jakieś swoiście pojęte kolekcjonerstwo, a jeszcze częściej wprost: «oto najtańszy sposób uzyskania ich w dostatecznej ilości». Przepraszam, tanim sposobem zdobycia pieniędzy jest wyciągnięcie ich bliźniemu z kieszeni.

co teraz czyni się powszechnie przy pierwszych przejściach, nie pozostawiając nawet najpotrzebniejszego. Objaw z wyżej wyłuszczonych względów niekorzystny, lecz zrozumiały jako następstwo anarchji wybijaczy. Chętnie pozostawię hak na zawsze — lecz nie, aby go jutro wybito!

W sprawie tej — wybijać czy pozostawiać — jesteśmy niemal jednomyślni. Była ona w sferach młodszych taterników wielokrotnie i zażarcie dyskutowana, stała się też tematem improwizowanego zebrania w lecie b. r. w Zakopanem, na którem wszyscy obecni, od starszych tatarników do najmłodszych, zajęli stanowisko zgodne z wypowiedzianem na tem miejscu. A jedynemu pono opozycjoniście trudno było znaleźć argumenty przeciwne.

Naturalnie, wszyscy przyznajemy, że przesycenie hakami jakiejś drogi taternickiej (możliwość zawsze istniejąca, choć dziś dalibóg tylko teoretyczna) — byłoby niekorzystne i niewłaściwe. Konsekwencją jednak zajmowanego przez nas stanowiska musi być stwierdzenie: że o usunięciu skądkolwiek haków nikomu indywidualnie decydować nie wolno. Powołane do tego są wyłącznie istniejące organizacje taternickie. Ich rzeczą niech będzie zajęcie się tą sprawą[1]).

## W OBRONIE CIĄGŁOŚCI REKORDÓW

W zakończeniu swego syntetycznego ujęcia dziejów rozwoju sportu taternickiego, twierdzi Kordys, że od r. 1909/10 podniesiono «skalę możliwości tatrzańskich do wyżyn, których odtąd, o ile chodzi o letnie taternictwo, przez 20 niemal lat nie przekroczono», co w innem miejscu uzupełnia twierdzeniem, iż postęp rekordu taternickiego leży «w tem przedewszystkiem, że miejsca nadzwyczaj trudne, które około 1905—1906 umieliśmy pokonywać na przestrzeni pięciu, sześciu metrów, w roku 1909 rozszerzyliśmy już do dwudziestu, w roku zaś 1929 — do czterdziestu metrów». Kordys nie ma słuszności. Rozwój rekordu taternickiego nie doznał aż tak długiej przerwy.

Nie myślimy tu o taternictwie zimowem. Jego historja podąża swemi własnemi drogami i z trudem tylko może być zestawialna z taternictwem letniem[2]). A w tej ostatniej dziedzinie przyznaje Kordys okresowi do roku

---

[1]) Przypomnieć warto, że pisemny protest przeciw wybijaniu haków ogłosiło już 1 września 1928 r. kilkunastu taterników, reprezentujących wszystkie trzy organizacje taternickie.

[2]) Świadczy o tem dowodnie bardzo swoisty, «rozwichrzony», typ rozrostu taternictwa zimowego. Najpierw u jego samego początku, zupełnie niezwykłe i pierwszorzędne sukcesy Wundta (zdobycie Baszty Przedniej, Lodowego Szczytu i Łomnicy, grudzień 1891) — gdy z polskiej strony dopiero pierwsze zimowe zwiedzenie Morskiego Oka (luty 1891) i Czarnego Stawu Gąsienicowego (marzec 1894), oraz pierwsze wyjścia na Kasprowy Wierch i Przełęcz pod Kopą Kondracką — z jedynem, całkiem odosobnionem przejściem Zawratu, przez J. Grzegorzewskiego (styczeń 1893) — przyczem nieśmiałe pierwiosnki propagandy narciarstwa więdną w zupełnej niepamięci. Następnie, gdy polscy turyści uczą się dopiero zimy na Osobitej, Żółtej Turni i Świnicy — K. Jordán zdobyciem Wysokiej (kwiecień 1903) i Pośredniej Grani (kwiecień 1904) nawiązuje do działalności Wundta, a wespół z Chmielowskim stawia nowy rekord zimowy w zdobyciu Gierlachu (styczeń 1905). Poczem: okres intensywnego zdobywania zimowego Tatr (Zaruski, przewodniki narciarskie), uwieńczonego wyjściem na wszystkie wybitniejsze szczyty i b. wiele turni, tak nawet trudnych jak Ostry Szczyt i Żabi Koń. Nowym widomym rekordem staje się zdobycie północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu (kwiecień 1925), otwierające okres zimowej penetracji wielkich ścian tatrzańskich. Współcześnie: dalsze podwyższanie możliwości zimowych (Jastrzębia Turnia od pn.-wsch., Hińczowa Przełęcz wprost od Morskiego Oka) przy równoczesnem kontynuo-

1928 tylko jedną zasługę: «podniesienia taternictwa z upadku do poziomu przedwojennego»[1]).

Odpowiadamy: działalność taterników dzisiejszego średniego pokolenia szła w latach 1926—1928 świadomie i owocnie w kierunku uzyskania nowego rekordu. Warjant Dorawskiego i Szczuki na wschodniej ścianie Mięguszowieckiego Szczytu, rozwiązanie szeregu problemów przez elitę przedwojenną za niemożliwe uważanych (Grań Wideł od wschodu na zachód, całkowite przejście rysy w południowej ścianie Małego Lodowego Szczytu) — podwyższyło możliwości tatrzańskie właśnie nie na ilość lecz na jakość trudności, których na tych drogach było nie więcej, lecz większe. Dlatego też już w r. 1927 M. Szczuka głosi postulat rozbudowy i przemiany dotychczasowej niewystarczającej skali trudności, obniżając do rubryki «bardzo trudna» nietylko ściany: północną Małego Kiezmarskiego Szczytu i południową Małego Lodowego Szczytu, lecz również południową Zamarłej Turni — poczem pogląd ten uzupełniono w roku 1929 stwierdzeniem, że również trudności tych partyj skalnych, które dotychczas przebyto na wschodniej ścianie Mnicha, dalekie są od maksymalnych. Nie zostały dotychczas skonfrontowane z innemi — z cytowanych przez Kordysa rekordów przedwojnia — jedynie tylko trudności warjantu Kordysa i Znamięckiego na północnej ścianie Jaworowego Szczytu. Wprawdzie już słowa Kordysa każą myśleć, że na Jaworowym było trudności więcej, ale nie większych niż na innych drogach rekordowych[2]) — ale przyjąwszy nawet, żeby je ogólnie uznano za «stojące na granicy ludzkich możliwości» — czy ten osąd podeprze tezę Kordysa? Nie.

Bo oto przejście Jaworowego, przez samych zdobywców zbagatelizowane[3]), a przez ogół taternicki niezrozumiane i... zlekceważone[4]), nie stało się w budowie gmachu taternictwa tym blokiem, który — narazie wieńcząc dzieło — pozwala następnie wywieźć budowę wyżej. Postęp zaś wówczas dopiero jest istotny, gdy staje się własnością ogółu. Dlatego właśnie — powołując się na przykład wcześniejszy — uważa się Haeberleina — i słusznie! — za tego, który podniósł skalę trudności tatrzańskich, chociaż już przed nim robiono w Tatrach równie trudne (lecz właśnie nieznane i niedocenione) wyprawy. Dlatego trud i sukces Kordysa i Znamięckiego poszły na marne — drogę przez nich wykonaną trzeba było jeszcze raz odrobić. Dlatego kamieniem milowym nie jest ich czyn — nawet po uznaniu go skrajnie trudnym — lecz dopiero — o kilkanaście lat późniejsze — zdo-

---

waniu pierwszej dopiero fazy zimowego poznawania Tatr, t. j. zwiedzania dziewiczych jeszcze turni i grani.

[1]) Jeszcze ostrzej ujmuje myśl Kordysa, sygnowany «n. s.» autor notatki «Dwudziestopięciolecie Sekcji Turystycznej P. T. T.» («Wierchy» z r. 1928). który jest pewien (str. 182), że: «Pod względem techniki wspinania się osiągnięto już przed wojną górne granice możliwych w granicie tatrzańskim wspinaczek». Temu twierdzeniu zaprzeczył już sam Kordys, uznając jednak w zdobyczach roku 1929 fakt dalszego posunięcia możliwości tatrzańskich.

[2]) Opinję zdobywców o swej drodze cytuje Stanisław Porębski («Taternik» z r. 1913, str. 89). Ma to być warjant «mogący się jedynie równać drodze... południową ścianą Zamarłej Turni».

[3]) «Na marginesie dyskusji o trudnościach» («Taternik» z r. 1910) uznał Kordys (str. 63), że «przejście północnej ściany Jaworowego Szczytu A. Znamięckiego i podpisanego nie da się porównać do wspaniałego czynu Martina i Komarnickiego».

[4]) Tak np. Stanisław Porębski w artykule «Północna ściana Mięguszowieckiego jako problem turystyczny» («Taternik» z r. 1913, str. 87) wydrwiwa ów warjant, będący dla niego «najlepszym przykładem rzekomego uklasycznienia najklasyczniejszych nawet dróg». «Ale jaki cel mu przyświecał, tego inicyator i «pierwszy zdobywca» nie objaśnił» — kończy Porębski swój złośliwy passus.

bycze na Mięguszowieckim Szczycie i Widłach: świadome celu i następstw podniesienie rekordu ponad — do owej pory największy — na południowej ścianie Zamarłej Turni uzyskany[1]). To jest postęp i rekord pierwszego pokolenia powojennego. Na tych filarach zbudowano dopiero sukcesy roku 1929.

Lecz nietylko to. Pierwsze dziesięciolecie powojenne pod jeszcze jednym względem przyniosło postęp w stosunku do poziomu przedwojennego. Podniósł się walnie ogólny poziom przedsiębranych wypraw.

Cyfry: południowa ściana Zamarłej Turni została w latach 1910—1924 zwiedzona 8 razy, w latach 1925—1927: 9 razy (w roku 1928: 10 razy) — południowa ściana Małego Lodowego Szczytu miała między r. 1912 a r. 1926 zaledwie 2 wyjścia, a w r. 1927 już wyjść 4 — północna ściana Galerji Gankowej doczekała się od r. 1911 do r. 1922 dwóch przejść, a z końcem r. 1928 miała ich już 12 — i t. d. I co najważniejsze: to, co przed wojną było czynem zupełnie wyjątkowym i arcypierwszorzędnym — i co jeszcze w r. 1924 i 1925 wysuwało się bezspornie na czoło wydarzeń sezonu — owo przejście drogi o najwyższej skali trudności — stało się czemś wielce zwyczajnem, zupełnie prostem, taternickim chlebem codziennym. Zasługi doprowadzenia do tego stanu nie można również odebrać «pokoleniu z pod znaku S. T. A. Z. S.».

Październik 1929. J. A. Szczepański

# NOWA SKALA TRUDNOŚCI NAJTRUDNIEJSZYCH DRÓG TATRZAŃSKICH

Konieczność zróżnicowania najwyższego stopnia, do dziś istniejącej skali trudności[2]) dróg tatrzańskich, wysuwana przez wielu taterników, tkwi wciąż na martwym punkcie. Taternictwo dzisiejsze wielkiemi jednak krokami zmierza wciąż naprzód, coraz zuchwalsze biorąc przeszkody i tworząc, granic ludzkiej możliwości sięgające, drogi. Niewspółmierność dróg lokowanych w jednej i tej samej klasie najwyższej («drogi nadzwyczaj trudne») jest jaskrawa i mogłaby doprowadzić w ostateczności do bardzo przykrych konsekwencyj, tembardziej, że dziś właśnie drogi najwyższego stopnia skali, a zatem najtrudniejsze, cieszą się największem powodzeniem. Najlepszym przykładem tej niewspółmierności są pn. ściany Żabiego Konia i Galerji Gankowej. Zdaniem mojem przejście ściany Galerji Gankowej w stosunku do pn. urwiska Żabiego Konia jest, według obecnej klasyfikacji — dość trudne a nie «nadzwyczaj».

Są dwie drogi zaradzenia złemu, albo istniejącą skalę trudności obniżyć, to znaczy, wszystkie drogi sklasyfikować przynajmniej o jeden stopień ostrzej, albo też dodać nowy, 9 stopień, któryby pomieścił najnowsze zdobycze, jak pn. ścianę Żabiego Konia, zach. ścianę Łomnicy i szereg innych,

[1]) Zauważyć można, że już w r. 1924 i 1925 pokonano — na przestrzeni kilku metrów — trudności większe, niż na Zamarłej Turni — a to przy przechodzeniu południowej ściany Kopy Lodowej nowym warjantem (którego wykonanie było koniecznem następstwem zupełnej zmiany konfiguracji dolnej partji ściany w okresie kilkunastu lat, jaki upłynął od pierwszego przejścia). Warjant ten jednak nie zaważył wiele na losach rekordu.

[2]) Rozciągniętej w Przewodniku J. Chmielowskiego i M. Świerza «Tatry Wysokie» na obszar całych Tatr. Skala ta, jak wiadomo, składa się z 8 stopni i obejmuje drogi od «bez żadnych trudności» do «nadzwyczaj trudnych».

najtrudniejszych dróg. Pierwszy sposób, zdaniem mojem, jest za trudny do przeprowadzenia (trzebaby sklasyfikować ok. 1400—1500 dróg) i da się uskutecznić przy opracowaniu nowego przewodnika. Drugi jednak sposób ma również swoje złe strony. Przypuśćmy, że ten nowy 9 stopień, przylepiony do istniejącej dziś klasyfikacji «Tatr Wysokich», nazwiemy — «drogi skrajnie trudne». «Skrajnie» — sam wyraz oznacza już granicę, poza którą wyjść jest niepodobieństwem, nikt się jednak z tem dziś nie zgodzi, że osiągnęliśmy ową mityczną granicę ludzkiej możliwości. Ewolucja taternictwa dąży wciąż naprzód i trudno przewidzieć, jakie będą jej drogi. Z tego powodu jeśli decyduję się na nazwanie tego 9 stopnia drogami «skrajnie trudnemi», nie znaczy to jednak, aby nic trudniejszego nie mogło powstać w przyszłości[1]).

Niżej podane zestawienie trzech najwyższych stopni skali trudności obejmuje drogi, które albo sam przeszedłem, albo też, dzieląc je, opieram się na zdaniu innych taterników, których objektywny sąd o trudnościach miałem sposobność poznać na wspólnie z niemi przedsiębranych wyprawach tarzańskich.

(Liczby w nawiasach oznaczają numer porządkowy drogi zamieszczonej w «Tatrach Wysokich». Daty i nazwiska odnoszą się do pierwszych przejść. * oznacza drogi, które znam z własnego doświadczenia).

Drogi skrajnie trudne: Niebieska Turnia pd. ścianą (21. VII. 1929, L. Skotnicówna i B. Czech); Kozia Przełęcz Wyżnia wprost od pn. * (20. VII. 1929, J. Sawicki, S. Motyka, W. Paryski i M. Kowalski); Kozi Wierch pn. filarem * (18. VII. 1929, J. Sawicki, S. Motyka i W. Paryski); Kozi Wierch, warjant, łączący drogę pn. filarem z drogą 93 * (31. VIII. 1929, L. Skotnicówna i W. Stanisławski); warjant na wsch. ścianie Mięguszowieckiego Szczytu (J. K. Dorawski i M. Szczuka 20. VII. 1926); Wołowa Turnia pn. ścianą * (3. i 5. IX. 1929, W. Stanisławski, Z. Gieysztor i częściowo S. Bernadzikiewicz); Żabi Koń pn. ścianą * (16. VI. 1929, L. Skotnicówna, W. Stanisławski i B. Czech); Żabi Mnich, ściśle pd.-zach. granią (18. VIII. 1929, B. Czech i J. Ustupski); Rumanowy Szczyt lewą (pd.) grzędą pn.-wsch. ściany * (2. VIII. 1929, W. Stanisławski, J. Wojsznis i B. Chwaściński); Żółty Szczyt zach. ścianą * (10. VIII. 1929, W. Stanisławski, A. Kenar i A. Stanecki); Kopa Lodowa, warjant w pd. ścianie(J. Leporowski i J. Krzyżanowski, 13. VII. 1928 [2]); Mała Śnieżna Turnia zach. ścianą * (18. VIII. 1929, L. Skotnicówna, A. Kenar i W. Stanisławski); Łomnica zach. ścianą * (8. VIII. 1929, W. Stanisławski, A. Kenar i A. Stanecki) (razem dróg 13).

Drogi nadzwyczaj trudne: Kościelec zach. ścianą * (13. VIII. 1928, W. Stanisławski i J. Wojsznis); Kościelec wsch. ścianą (pn. wierzch.) (17. VII. 1929, L. Skotnicówna, B. Czech i J. Ustupski); Zamarła Turnia pd. ścianą (74); Kozia Przełęcz Wyżnia wprost od pd. (16. VII. 1928, J. Honowska, A. i J. A. Szczepańscy)[3]); Kozi Wierch pn. ścianą * (93); Mała Buczynowa Turnia właściwą pn.-zach. ścianą * (4. VII. 1928, W. Stanisławski i Z. Korosadowicz); Mała Buczynowa Turnia pn.-zach. ścianą, sposobem znalezionym przez W. Birkenmajera i K. Kupczyka 14. VIII. 1929; Mała

[1]) Dlatego niesłusznem wydaje mi się oburzenie pewnego wspinacza, którego drogę przeszedłem i określiłem jako skrajnie trudną, a nie — tylko nadzwyczaj trudną, jak on się tego domagał.

[2]) Co do tej drogi posiadam najmniej danych.

[3]) Droga ta warjantem upraszczającym (13. IX. 1929 B. Chwaściński i Z. Gieysztor) została znacznie ułatwiona.

Buczynowa Turnia pn.-zach. ścianą, sposobem znalezionym przez T. Prażmowskiego, Z. Kirschenbauma i H. Lauera 30. VIII. 1913[1]) *; warjant R. Kordysa i A. Znamięckiego na pn. ścianie Jaworowego Szczytu[2]); całkowite przejście rysy w pd. ścianie Małego Lodowego Szczytu (10. VIII. 1928, dr. M. Sokołowski i K. Wallisch); Kopa Lodowa pd. ścianą * (1003); warjant w dolnych partjach pd. ściany Kopy Lodowej (19. VII. 1929, F. Gador, B. Chwaściński i A. Kenar); Grań Wideł w kierunku wsch.-zach. (razem dróg 13).

Drogi bardzo trudne: Niebieska Turnia wsch. granią * (31)[3]); Zawratowa Turnia środkową rysą w pn.-wsch. ścianie (9. VIII. 1925, J. Golcz i J. Kuryłowicz); Przełęcz w Kościelcu wsch. urwiskiem * (16. VIII. 1928, W. Stanisławski i J. Wojsznis); Kozi Wierch pd.-zach ścianą (we wrześniu 1928 r. B. Czech i tow.); Granaty właściwą pn.-zach. ścianą * (28. VII. 1928, W. Stanisławski i J. Wojsznis); Mnich pn. ścianą * (191); Mnich wsch. ścianą *[4]); Przednia Soliskowa Turnia wsch. ścianą (258)[5]); Zadnia Baszta wsch. ścianą (307)[5]); Przełęcz nad Czerwonym Żlebem wprost od wsch. (w roku 1912 W. Jerominówna, M. Zaruski i A. Znamięcki)[6]); Mięguszowiecki Szczyt wsch. ścianą * (396); Żabia Turnia Mięguszowiecka pn. ścianą * (437); Żabia Przełęcz Wyżnia od pn. (441); Żabi Koń pd. ścianą, drogą Haeberleina (442); Żabi Mnich pn. granią (487); Żabi Mnich zach. ścianą (11. VIII. 1929, B. Czech i J. Ustupski[7]); Żabi Szczyt Wyżni właściwą zach. ścianą * (13. IX. 1926, A. Schiele i H. Mückenbrunn); warjant L. Skotnicówny na zach. ścianie Żabiego Szczytu Niżnego * (15. VI. 1929, L. Skotnicówna i W. Stanisławski); Galerja Gankowa pn. ścianą * (576); Rumanowy Szczyt pn.-wsch. ścianą[8]); Żłobisty Szczyt pn.-wsch. ścianą (593); Batyżowiecki Szczyt pd. ścianą * (669); Wyżnia Wysoka Gierlachowska pn.-zach. ścianą (27. VII. 1928, W. Krygowski)[9]); Litworowy Szczyt pn.-wsch. ścianą (715)[10]); Baniasta Turnia pn. ścianą 18. IX. 1927, G. Lingsch i G. Seide)[9]); Wsch. Rówienkowa Turnia pn.-wsch. granią * (842); Mały Jaworowy Szczyt pn. ścianą (850); Rożdziele od pn. (1. IX. 1929, St. Wróbel i W. Żędzianowski); Mały Ostry Szczyt pn. ścianą (12. VIII. 1929, W. Birkenmajer, J. K. Dorawski, K. Kupczyk, M. Skolnicówna, A. i J. A. Szczepańscy); całkowite przejście rysą na pd. ścianie Ostrego Szczytu (890); Zbójnickie Turnie, przejście ściśle granią[11]), Mały Lodowy Szczyt pd. ścianą * (910); Kiezmarski Szczyt pd. filarem (1113); Mały Kiezmarski Szczyt pn. ścianą (1126);

---

[1]) Por. «Taternik» 1914, Nr. 2, str. 26.

[2]) Patrz «Taternik» 1910, Nr. 1, str. 21 (Co do tej drogi posiadam również mało wiadomości. Być może, że należało ją zamieścić nawet w rubryce dróg skrajnie trudnych).

[3]) Por. «Taternik» 1910, Nr. 4 i 1928, Nr. 3, str. 67.

[4]) Droga wsch. ścianą nie jest jej rozwiązaniem dobrem, ale ze względu na na swą długość (dwie osoby ok. 5 g.); oryginalność i po części trudności — zasługuje na uwzględnienie.

[5]) Drogi te będą prawdopodobnie najłatwiejszemi w swej klasie.

[6]) Patrz Przewodnik Gy. Komarnickiego 1918, tom I, str. 52, Kap. 27A, III.

[7]) Drogę tę możnaby, zdaje się, zaliczyć do nadzwyczaj trudnych nawet, a w każdym razie jest ona najtrudniejszą w swej klasie.

[8]) Patrz «Taternik» 1929, Nr. 1, str. 17.

[9]) Drogi do dziś jeszcze nie powtórzone, i o których nie miałem sposobności zasięgnąć informacji.

[10]) Nie sprawdzona.

[11]) Zdaniem pp. A. Kenara i A. Staneckiego, którzy grań przeszli częściowo ściśle.

Czarny Szczyt pd.-wsch. ścianą * (29. VIII. 1929, W. Stanisławski i B. Chwaściński)[1]) (razem dróg 34).

Wszystkie drogi, nie zamieszczone w powyższym spisie, są albo wykluczone jako łatwiejsze i przeniesione do stopni niższych, lub też brakowało mi wszelkich podstaw do ocenienia ich.

Celem uniknięcia dezorjentacji na przyszłość w rozmieszczaniu dróg w powyższych trzech klasach, podaję niżej drogi, będące przykładowemi dla nich:

Drogi skrajnie trudne: Żabi Koń pn. ścianą.
Drogi nadzwyczaj trudne: Zamarła Turnia pd. ścianą.
Drogi bardzo trudne: Mały Lodowy Szczyt pd. ścianą,

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Żadna droga tatrzańska nie jest tak pewna licznych odwiedzin, jak właśnie któraś z najtrudniejszych. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, aby wszyscy taternicy, dokonywujący powtórzeń dróg, nadsyłali do «Taternika» swoje opinje co do stopnia trudności ich. Mam wrażenie, że różnica zdań wahałaby się w granicach 2—3 stopni skali w stosunku do danej drogi, co umożliwiłoby — na podstawie sądu ogółu — nawet większością zgodnych opinij należyte sklasyfikowanie. Zdaniem mojem byłaby to najbardziej objektywna ocena. W. Stanisławski

# SKALNE DROGI.

ŻÓŁTY SZCZYT. I. wyjście zach. ścianą. Podpisany z A. Kenarem i A. Staneckim, dnia 10 sierpnia 1929 r.

Zach. ściana Żółtego Szczytu wznosi się ponad żlebem, spadającym z Żółtej Ławki do Dol. Staroleśnej. Żlebem tym, po piargu, do miejsca, gdzie dno jego staje się skaliste, zaraz za miejscem, gdzie stoi odpęknięty od ściany, olbrzymi blok. Stąd jeszcze jakiś czas w górę żlebu, dopóki nie miniemy olbrzymiej tafli pionowej, zielono zabarwionej (już ze schroniska w Dol. Staroleśnej dobrze widocznej), w linji spadku wierzchołka znajdującej się płyty. Między tą ostatnią a jeszcze wyżej położoną, równie wielką i pionową, bronzową płytą wejście w ścianę (kopczyk). Przez 5-metrową, trudną ściankę na trawiaste kępki, skąd przez bloki z odchyleniem w pr. pod przewieszkę i przez nią — trudno — do dobrego bloku asekuracyjnego. Teraz w pr. przez ściankę na płytowy gzyms i nim w pr. do jego końca (od wejścia w skały 30 m), skąd przez niską, pionową, ukośnem pęknięciem przeciętą ściankę, skośnie w l. — b. trudno — nad górną krawędź wyżej opisanej bronzowej płyty. Wzdłuż tej krawędzi skośnie w l. 15 m na wygodną platformę (kopczyk). Z niej wprost wgórę z odchyleniem w l., pod koniec pionową rysą, po 20 m na nową, płytową platformę (kopczyk). Z pr. jej brzegu z odchyleniem w l. biegnącą, z bloków utworzoną, rysą do przewieszki w niej, poczem l., tępą jej krawędzią — b. trudno — na płytowy stopieniek i z niego znów podobną, b. trudną krawędzią na drugi płytowy stopieniek. Z niego wielkim krokiem w pr., ponad rysą na stopień u początku nowej rysy (15 m). Rysą tą 8 m wgórę do odstrzelonego od ściany, ogromnego, świetnego do asekuracji bloku. Przewieszoną ścianę nad nami przecina kominek i — bardziej na pr. — rysa. Od wspomnianego bloku asekuracyjnego parę metrów skośnie w l. do stóp kominka i nim 8 m, wkońcu przez nadzwyczaj trudną przewieszkę,

[1]) Drogę tę możnaby właściwie uważać za najtrudniejszą w klasie «trudnych».

na piarżysty stopień tuż ponad nią (kopczyk). Stąd z odchyleniem w l. biegnącą rysą na trawiasty zachód i nim w l. pod kominek z zaklinowanym głazem (na l. duża platforma z kopczykiem). Kominkiem wprost wgórę przez przewieszkę, trudno, na duży taras (40 m), którym w pr. 20 m aż do jego końca pod ogromną, pionową płytę (kopczyk). Teraz przez stromą ściankę z l. strony płyty wgórę i nieco w pr. na pr. grzędę widocznego z l. strony olbrzymiego płytowego zacięcia i tą grzędą wkońcu po piargu i dalej po trawie na nowy trawiasto-skalisty taras (40 m; kopczyk). Biegnie stąd wprost wgórę płytowe zacięcie ogromnych rozmiarów, którem 25 m wgórę w pobliżu olbrzymiej, przewieszonemi płytami okolonej, trawą wysłanej nyży z plaskiem dnem. O 5 m poniżej brzegu owej nyży z zacięcia w pr., b. trudno, na pr. żeberko zacięcia i niem — trudno — 15 m do miejsca, gdzie się zatraca w przewieszonych skałach. Teraz w l. ponad czeluścią nyży z pomocą odpękniętego bloku, trudno, na trawiasto-skalisty taras. (Można stąd piarżystym kominkiem skośnie w pr., pod koniec przez niewielką przewieszkę, po 20 m wydostać się na pd.-zach. grań Żółtego Szczytu).



Tarasem 10 m w l. (kopczyk), poczem wprost wgórę rysą, najpierw z odchyleniem w pr. (trudno), wreszcie wprost wgórę (trudno) na trawiastą półkę (na pr. mała dziupka skalna) i nią parę m w l., poczem krótszą rysą i wreszcie przez bloki i stopnie wprost na wierzchołek Żółtego Szczytu (od ostatniego tarasu 40 m) (6—7 g od wejścia w skały).

Wysokość ściany w linji spadku wierzchołka ok. 300 m.

Droga skrajnie trudna i niezwykle eksponowana, będąca jedną z najtrudniejszych i niezwykle pięknych wypraw tatrzańskich. Skała lita. W. Stanisławski

LODOWY SZCZYT. I. wyjście z Dol. Śnieżnej. Podpisani, z A. Szczepańskim, dnia 23 lipca 1929 r,

Drogą 1023—1026 Przew. J. Ch. i M. Ś. na olbrzymie pole śnieżne (lodowczyk?)[1]), wypełniające najwyższe piętro Dol. Śnieżnej (od Czarnego Stawu Jaworowego 3 godz.). Przez pole to — zrazu w pobliżu jego moreny bocznej — poczem w pr., coraz stromiej, do jego najwyższego zasięgu, gdzie wchodzi w niego potężny, między pn.-zach. ścianę P. 2507 m, a boczne, urwiste, z Kapałkowej Grani schodzące żebro, wciśnięty, ukryty żleb. Nim, rąbiąc stopnie w b. stromym śniegu, aż do jego rozszerzenia się i spiętrzenia pod pionowemi ścianami. Tu w pr. do b. kruchej rynny i nią, ku końcowi dość trudno, na wspomniane już, ograniczające żleb z pr. strony, żebro, osiągając je w małem siodełku (kopczyk) bezpośrednio poza turnią, spadającą w Dol. Śnieżną niedostępnemi urwiskami. Teraz wgórę, wciąż w zasadzie krawędzią żebra (krucha

[1]) Dolny koniec tego lodowczyka znajduje się — wedle pomiarów aneroidowych dra B. Pawłowskiego — na wys. ok. 2110 m, górna krawędź (pomiar przybliżony) na wys. ok. 2235 m.

skała), b. stromo i nieco trudno, kilka długości lin, aż na pn.-zach. grań P. 2507 m, osiągając ją tuż obok — omówionego w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod nr. 1018 — «wąskiego siodełka, z którego w obie strony spadają b. strome żleby» (2½ godz.). Stąd granią, obchodząc stromsze miejsca po stronie Doł. Suchej w 40 min. nieco trudnej wspinaczki, na Ramię Lodowego. Droga nieporównanie piękna krajobrazowo i należąca do wypraw o charakterze prawdziwie alpejskim, będąca przytem najdłuższą tatrzańską wyprawą śniegowo-skalną. Trudności jej są zmienne, zależnie od stanu śniegów; najmniejsze we wczesnych miesiącach lata (czerwiec, początek lipca).

J. K. Dorawski J. A. Szczepański

ŁOMNICA. I. wyjście zach. ścianą. Podpisany z A. Kenarem i A. Staneckim dnia 8 sierpnia 1929 r.

Zach. ściana Łomnicy opada ku żlebowi, spadającemu z Przełęczki pod Łomnicą[1]) rozłożystem i niezwykle urwistem, ok. 350 m wysokości mierzącem urwiskiem. Wstęp w ścianę znajduje się w owym żlebie, w miejscu, gdzie ściana tworzy łuk u podstawy. Widać tu ujście 300-metrowej rysy, przerzynającej lewą połać ściany, która w dolnej części tworzy dobrze widoczne, dwa wywieszone balkony.

Do tego miejsca możemy się dostać dwoma sposobami:

A) Drogą Jordana z Dol. Pięciu Stawów Spiskich na Przełęczkę pod Łomnicą, skąd paręset m wdół po piargu na stronę Dol. Zimnej Wody, do wyżej opisanego wejścia w skały (2 g 40 min.), lub:

B) wprost z Dol. Zimnej Wody, sposobem znalezionym dnia 4 lipca 1927 r. przez podpisanego i J. Wojsznisa.

Ścieżkę, wiodącą dnem Dol. Zimnej Wody, opuszczamy w miejscu, gdzie ta przechodzi pod wylotem olbrzymiego żlebu, spadającego z Przełączki pod Łomnicą i niebawem poczyna się wspinać na próg Dol. Pięciu Stawów Spiskich. Żlebem b. krótko, poczem w dogodnem miejscu w pr. na pr. grzędę żlebu, starając się ją osiągnąć już ponad dużym łanem kosówki, poczem samą grzędą w zawikłanym terenie, trzymając się możliwie krawędzi jej obrywu ku dolinkowatej czeluści żlebu, już wysoko zaś — na dno żłobiącego grzędę żlebku. Żlebkiem, a dalej jego l. grzędą na poziomą, wygodną, piarżystą półkę i nią na dno głównego żlebu, osiągając go tuż ponad jego wielkim progiem. Teraz dnem żlebu po śniegu, skałach i wreszcie po piargu do, we wstępie wspomnianego, wejścia w skały (2 godz. od opuszczenia ścieżki). Sposób częściowo dość trudny i mało praktyczny.

Od, we wstępie opisanego, wejścia w skały (kopczyk) 10-metrową, trudną ścianką do początku 300-metrowej rysy, przerzynającej lewą połać zach. ściany (rysę tę tylko przy odpowiedniem oświetleniu — o zachodzie słońca — widać ze Schroniska im. Tery'ego). Rysą 20-m do dobrego bloku asekuracyjnego. Teraz właściwie biegną dwie, blisko siebie położone rysy. Wspinamy się l. z owych rys 30 m, trudno, do piarżystego stopieńka pod przewieszonemi skałami. Tu ciąg 300-metrowej rysy przerywają, z góry się nasuwające, źle uwarstwione skały. Przebycie owej przerwy jest najtrudniejszą częścią drogi. Z wyżej wspomnianego, piarżystego stopieńka 2 m w górę i 6 m w pr., poza wąwieszony dziób skalny, poczem 5-metrową nadzwyczaj trudną ścianką na małą platforemkę. Z niej, na przeciwną stronę nieco w dół i 6 m poziomo w l. nadzwyczaj trudno, do dalszego

[1]) Używamy po raz pierwszy tej nazwy dla oznaczenia przełączki, położonej między Łomnicą a Małą Poślednią Turniczką (niem. Noack-Habel Scharte) (Red.).

ciągu 300-metrowej rysy. Po 10 m wspinaczki wychodzimy na wygodne stopnie (hak), skąd 15-metrową, do gzymsu podobną rysą, trudno, na wywygodną platformę (kopczyk). Teraz dalszy ciąg rysy wygląda jak olbrzymie zacięcie, którego lewa ściana jest przecięta szeregiem pęknięć. Z pomocą owych pęknięć, 35 m wgórę (jest to najłatwiejsza część drogi) na dużą, płytową platformę (kopczyk na niej ustawiony widać ze żlebu), która w l. wchodzi pod dach olbrzymiej przewieszki, w pr. przekształca się w trawiastą półkę. Z miejsca, w którem wydostajemy się na ową platformę, wprost w górę rysą a potem systemem rys i filarków, na które dzieli się główna rysa, trzymając się zasadniczo kierunku prostego, na piarżysty stopieniek z blokiem asekuracyjnym (kopczyk; 20 m). Teraz na wierzchołek jeszcze jednego filarka i dalej znów zwartą w sobie, główną rysą 25 m. do wygodnej platformy (kopczyk). Z niej trudną rysą 25 m do przewieszki, poczem tuż poniżej tej ostatniej, poziomo w l. poza krawędź l. ścianki i otwartą ścianą 5 m w górę do dobrego bloku asekuracyjnego. Stąd 8 m w górę na świetną, gruzem zawaloną platformę (kopczyk). Z niej 25 m trudną rysą do piarżystego stopnia (kopczyk). Nad nami widnieją gładkie płyty, w ktore wciska się rodzaj płytowego kominka. Najpierw w l. na przypartą do ściany, pochyłą płytę, poczem wprost w górę pionową ścianą z l. strony wspomnianego kominka, pod przewieszkę, zbudowaną z kruchych, białych skał, powstałą przez oberwanie się części urwiska. Przewieszkę tę omijamy w l., poczem wspinamy się jeszcze kilka m wprost wgórę. Rysa, biegnąca wprost wgórę niebawem zatraca się w gładkich płytach, to też nie idziemy nią do końca, lecz, odchylającą się w l. nakształt pęknięcia, boczną rysą, trudno, przeszedłszy przez odpęknięty blok do pionowej, a nawet częściowo przewieszonej rysy, którą na wciśnięty w skały, piarżysty stopieniek (45 m). Stąd częściowo przewieszonemi skałami, które przecina kilka rys, trudno na pn.-zach. grań Łomnicy, osiągając ją o kilkanaście m na pn.-zach. od poziomej grani szczytowej (6 g 30 min. od wejścia w skały).

Droga skrajnie trudna i ogromnie eksponowana, należąca do najwspanialszych i najtrudniejszych dróg tatrzańskich. Skała lita i absolutny brak trawy prawie wszędzie, dobra asekuracja możliwa. W. Stanisławski

SPROSTOWANIA I UZUPEŁNIENIA do zeszytu trzeciego. Kozi Wierch pn. ścianą: Według autora opisu, droga ma być nadzwyczaj trudna, nie zaś skrajnie trudna. Żabi Koń pn. ścianą: Opuszczono podpis, który ma brzmieć: W. Stanisławski.

# NOTATKI

✝ **Teodor Wundt.** Dnia 15 sierpnia 1929 r. zmarł w Monachjum, przeżywszy lat 71, em. generał Teodor Wundt, znakomity alpinista, osobistość w niemieckim świecie alpinistycznym niezwykle popularna i sympatyczna. Zmarły należał dotych b. niewielu alpinistów, którzy wyprawami letniemi nie wybili się na plan pierwszy, dokonując wyjść raczej drugorzędnych — którzy natomiast działalnością zimową zdobyli sobie najwyższe uznanie. Na tem polu chronologicznie jeden z pierwszych, Wundt — zwłaszcza w zdobywaniu Alp Wschodnich — położył niezmierne zasługi. Koroną jego działalności stała się dolomitowa wyprawa w zimie 1892/93, uwieńczona szeregiem sukcesów, z których wyjście na Kleine Zinne (28 grudnia 1892 r.) było zdobyciem rekordu zimowego alpinizmu, jednem z największych. Wyprawy swoje odbywał Wundt zazwyczaj z przewodnikami (Michele Bettega i i.), a opisywał w szeregu wspaniałych albumowych wydawnictw, między któremi znaj-

duje się również monografja jego ukochanego szczytu «Das Matterhorn und seine Geschichte» (1896 r.). Położył także wielkie zasługi na polu fotografji wysokogórskiej (pierwsze zdjęcia wspinaczkowe). Wreszcie, już u schyłku życia (w r. 1917) w książce «Ich und die Berge, ein Wanderleben» dał jedyny w swoim rodzaju i niezmiernie wzruszający — jakiekolwiekby się miało czysto-artystyczne zastrzeżenia — wizerunek życia ludzkiego, w całości urabianego przez alpinizm.

Nas, w «Taterniku», interesuje specjalnie tatrzańska działalność Zmarłego. Wundt bawił w Tatrach tylko trzykrotnie — i to krótkiemi okresami — ale niemniej zasługi jego dla taternictwa są zupełnie pierwszorzędne, choć zresztą wyprzedzające swój czas i na szereg lat pozostałe odosobnionym czynem jednostki. Pierwsze zetknięcie się Wundta z Tatrami (w lecie 1882 r.) miało jeszcze podrzędne znaczenie. Otrzymawszy 14-dniowy urlop — jedzie młody pruski oficer kawalerji przez Kraków, Wieliczkę i Nowy Targ do Zakopanego, skąd — z nieokreślonym bliżej przewodnikiem Gąsienicą — przechodzi przez Zawrat do Morskiego Oka, próbując stąd wyjść na Rysy, co mu udaremnia niepogoda. Następnie przechodzi przez Świnicę i przez Polski Grzebień — na czem koniec. Wrażeń jednak zbiera moc; sam powiada, że ta właśnie wyprawa nauczyła go turystyki. Można mu więc wybaczyć steoretypowe i zdawkowe, w «Ich und die Berge», wyrzekania na brud polski, i spostrzeżenia w rodzaju: że prócz Polaków i Węgrów mieszkają jeszcze pod Tatrami Niemcy, Słowacy, Słoweńcy, Rusini i Cyganie.

Drugą wyprawę tatrzańską odbywa w kwietniu 1884 r. W Jakóbie Horvay'u z Nowoleśnej znajduje towarzysza równie dzielnego i użytecznego jak laika w fachowych sprawach turystyki zimowej. Lecz mimo to, jakież sukcesy! 10 kwietnia zostają zdobyte — po raz pierwszy zimą — Rysy (od Popradzkiego Stawu przez Wagę); pierwszy rekord tatrzański Wundta — 12 kwietnia: Krywań — 15-go: Sławkowski Szczyt — 16-go: uzyskane pierwsze przejście zimowe Przełęczy pod Kopą — 17-go: przez Polski Grzebień. Nadto próbuje Wundt — 14 kwietnia — wyjścia na Przełęcz pod Chłopkiem (od Hińczowego Stawu) — a 11 kwietnia również zdobycia Wysokiej, co mu się wprawdzie nie udaje z powodu ciężkich warunków śniegowych, ale co w każdym razie zostaje okupione, jak pisze Wundt w «Ich und die Berge» (str. 66), «wyjściem na prawo na jedną z przełęczy w głównym grzbiecie, aby przynajmniej móc spojrzeć na drugą stronę. Wedle moich pomiarów barometrycznych byliśmy na wysokości 2400 m, a więc mniej więcej 150 m poniżej wierzchołka». Na podstawie interpretacji tekstu można — jak sądzimy — przyjąć, że Wundt i Horvay wyszli wówczas na siodełko w połudn.-wsch. grani Smoczego Szczytu, pod Igłą w Wysokiej[1]).

Trzecia i ostatnia tatrzańska wyprawa Wundta przypada na grudzień 1891 r. Najpierw mieszka Wundt nad Jeziorem Szczyrbskiem i stąd wychodzi samotnie na Basztę Skrajną (22 grudnia), Basztę Przednią (23-go) i Osterwę (24-go), wykonując wyprawy, którym dopiero samotne wyjście Jerzego Maślanki na Świnicę (30 grudnia 1907 r.) dorównało. Następnie spotyka się ponownie z Horvay'em i — 27 i 28 grudnia — odbywa dwie wyprawy, będące na owe czasy zupełnie nieprawdopodobnym wyczynem i nawet wedle dzisiejszych pojęć całkiem pierwszorzędne. Jest to najpierw zdobycie zimowe Łomnicy — rekord, wyraźnie przewyższony dopiero z wyprawami powojennemi — a następnie wdarcie się na Lodowy Szczyt, w szalejącej burzy śnieżnej. W silnych słowach opisuje Wundt swą wyjątkowo ciężką pracę, i kończy znamienną uwagą («Ich und die Berge», str. 169): «Und doch war die Tour schön gewesen, so wenig wir gesehen ausser tobendem Sturm, treibenden Nebeln, gespenstigen Felsgestalten und wirbelnden Schneemassen. Auch in den Bergen hat das Heroische eben seine eigene Anziehungskraft und oft ist mehr wert als die reizvollste Romantik».

J. A. Szcz.

---

[1]) Siodełko to opisane jest w Przewodniku J. Ch. i M. Ś. pod nr. 552. Wedle pomiaru aneroidowego H. S. Finka («Taternik» z r. 1929, str. 35), znajduje się na wysokości ok. 2365 m.

---



Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: S. K. Zaremba.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki